


*Spokojnie. Dopóki jej nie otworzysz. –J.*

Jeśli ją znajdziesz, oddaj. Bez niespodzianek: właścicielowi.




*Ta pieczątka oznacza to, co zdarza się tylko w opowieści: prawdziwe smoki nie istnieją, a paczki nie przylatują z powrotem. Jeśli chodzi o prawdziwe przyjęcie, zajrzyj na ostatnią stronę. –J.*

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 5

# Tort dla dwojga

LinguAula




(zeszyt Guniego)

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 5

Tort dla dwojga

Piąta książka z serii. Poprzednie: „Ta paczka gryzie”, „Nie otwierać przed grzmotem”, „Zwrot, proszę” i „Tu nie, Kruszynko!”.

Tekst i ilustracje: LinguAula

Wersja polska: LinguAula

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

Wydanie pierwsze: 2026

© 2026 LinguAula · info@linguaula.com

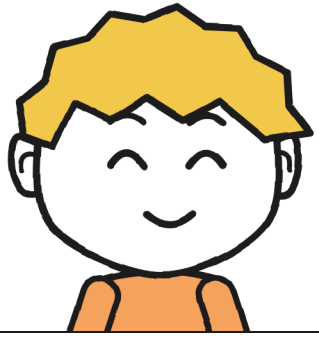
Można swobodnie kserować – do klasy i do domu.

Kroje pisma: Andika, Patrick Hand, Caveat i Courier Prime (licencja SIL OFL).

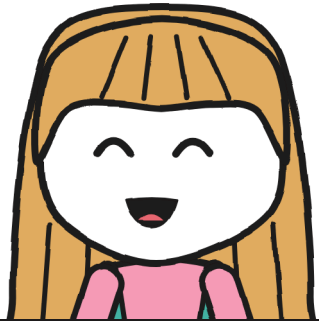
Pracuj nad każdym rozdziałem
na linguaula.com

*Podczas pisania tej książki żaden tort nie ucierpiał.*
*Przepołowiony, owszem. —J.*

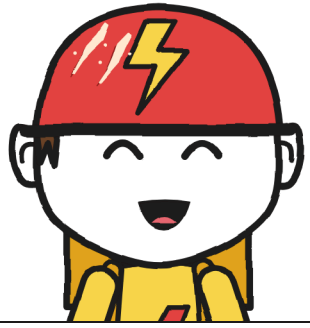
# KTO JEST KIM



Guni. Sobotni kurier. Ten zeszyt jest jego. Lubi spokojne popołudnia.



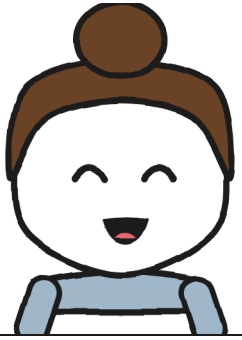
Julita. Pisze na zielono i podpisuje się J. Lubi przyjęcia z muzyką. I niespodzianki.



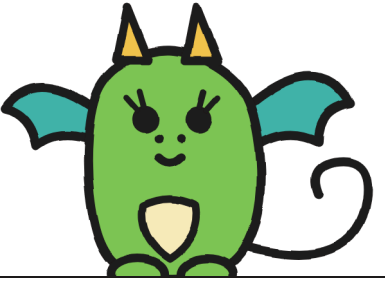
Tonio. Rozwozi dla BŁYSKAWICY, w dziesięć minut albo za darmo. Nie rozwozi tylko oszustw.



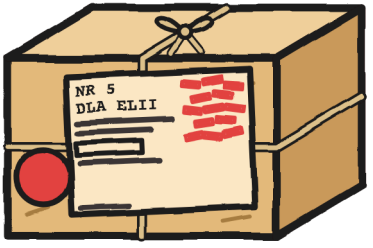
Mara. Właścicielka Niemożliwych Dostaw. Nosi kapelusz czarownicy. Wie więcej, niż mówi.



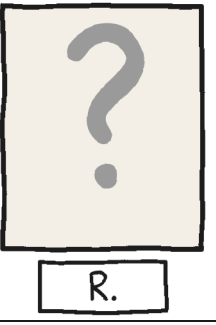
Elia. Piekarka z sąsiedztwa. Ma jeden piec i dwie ręce.



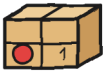
Kruszynka. Smoczątko. Mieszka z Werą. Lubi świeczki. Za bardzo.




Paczka nr 5. Z zewnątrz taka sama jak wszystkie. Na etykiecie jest napisane: MONTOWAĆ TAM, GDZIE SIĘ ZMIEŚCI.




R. Wysyła paczki, których nikt nie umie doręczyć. Nikt nie mówi, jak R. się nazywa.



ROZDZIAŁ 1

# Dwa zaproszenia

Zeszyt 4 skończył się śpiącą tenisówką i nie przychodzi mi do głowy lepszy koniec dla zeszytu. Piątka jest różowa. Truskawkowy róż, jak lukier na tortach, z pieczątką sklepu w rogu. Mara położyła go na ladzie w sobotę rano, nic nie mówiąc, i zaczęła ustawiać słoiczki z tuszem z uwagą, której wcale nie potrzebowały. To jej sposób, żeby nie patrzeć.

Na pierwszą stronę przez cały tydzień wypróbowywałem słowa. Dwójce dałem OFICJALNY; trójce TAJNY; czwórce OSTATECZNY. Chyba mam słabość do słów z zamkiem. Tym razem nie musiałem szukać: samo przyszło, tak jak przychodzi to, czego człowiek od paru dni chce, choć nie zdążył sobie z tego zdać sprawy.

U góry napisałem ZESZYT DOSTAW 5 Guniego, tak się pisze. Pod spodem, powoli, świeżo zatemperowanym ołówkiem, jedno słowo:

SPOKOJNIE.

Bez wykrzyknika. Spokojny wykrzyknik byłby sprzecznością, a ze sprzecznościami ostrożnie.

Julita stała po drugiej stronie lady, pochylona, z głową przechyloną jak papuga słuchająca radia. Nie poprosiła o zeszyt. Nie musiała: czyta do góry nogami równie szybko jak normalnie, i to ze znacznie większą bezczelnością.

— Spokojnie — powiedziała, do słowa, nie do mnie.

Wyjęła zielony flamaster, który już słabo pisał, przyciągnęła zeszyt jednym palcem i zostawiła mi pod spodem:

*„Spokojnie" pisze ten, kto nie wie, co go czeka. –J.*

Przeczytałem to trzy razy, szukając miejsca, w którym się myli. Nie znalazłem, i martwiło mnie to mniej, niż powinno.

Dla tych, którzy trafią na ten zeszyt, nie czytając poprzednich: sklep nazywa się Niemożliwe Dostawy i należy do Mary, która jest czarownicą, nosi fioletowy kapelusz i ma pieczątkę, która przy odciśnięciu sypie iskrami pachnącymi zgaszoną świecą. Na regale po lewej trzyma zwroty, paczki, których nikomu nie udało się doręczyć, wszystkie nadane przez R. Jeśli ten, kto dostaje paczkę, nie podpisze etykiety tuszem, który się nie zmazuje, o świcie paczka wraca w locie na swoją półkę. Było ich dwadzieścia. Julita i ja doręczyliśmy cztery: smocze jajo, nasionka na nóżkach, dzwoneczek i zestaw na przybycie. Na ścianie, zielonymi literami, jest napisane ZOSTAŁO 16.

Wczoraj, w piątek 16, były moje urodziny. Obchodziłem je w domu, z mamą: ciasto cytrynowe, dwie filiżanki i nikt nie śpiewał. Było idealnie.

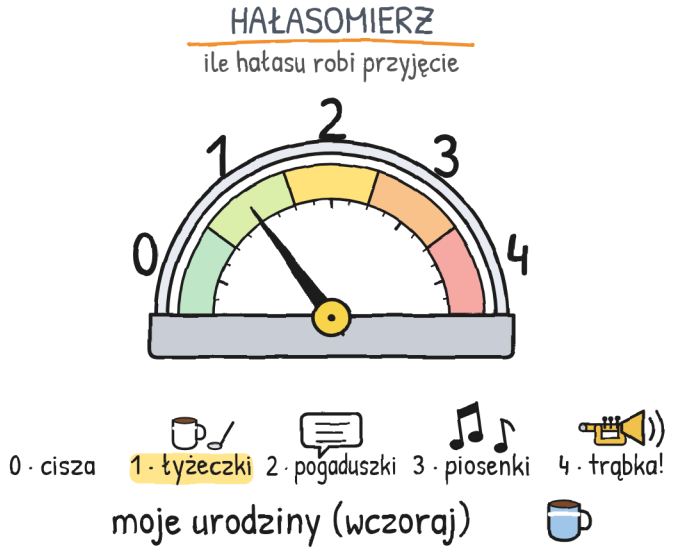
Z tym śpiewem trzeba coś wyjaśnić, bo u mnie w domu to nie niedopatrzenie, tylko umowa. Mama zapytała mnie dzień wcześniej, z nożem do chleba w ręku: „Śpiewać czy nie śpiewać?". Powiedziałem, że nie. Skinęła głową jak ktoś, kto się podpisuje, i dotrzymała słowa. Pokroiła ciasto na cztery równe części, dwie na teraz i dwie na potem, i przez długą chwilę słychać było tylko łyżeczkę o filiżankę, lodówkę i, bardzo daleko, autobus. Najlepsze w tym popołudniu było to, że słychać było autobus.

Prezent od Julity opiszę później. Zasługuje na swoje miejsce.

Żeby urodziny zapisać, jak należy, tego wieczoru wymyśliłem przyrząd. To czwarty w mojej karierze, po drżymierzu, rumieniomierzu i tumierzu: tarcza ze wskazówką, jak w zegarze, i pięć kresek. Zero, cisza. Jeden, łyżeczki. Dwa, pogaduszki. Trzy, piosenki. Cztery, trąbka. Nazwałem go HAŁASOMIERZ, „ile hałasu robi przyjęcie", ustawiłem wskazówkę na jedynce, a pod spodem narysowałem małą filiżankę, która była moja.

Julita przewróciła stronę bez pytania o pozwolenie, spojrzała na tarczę, spojrzała na filiżankę i napisała słabym flamastrem:

*Urodziny na jedynce to nie urodziny. To podwieczorek. –J.*




Zamknęła flamaster, oparła łokcie na ladzie i powiedziała, jakby czytała porządek obrad:

— W środę 21 są moje. I obiecaliśmy świętować je razem.

— Po dwudziestym pierwszym — powiedziałem.

— W sobotę 24. O piątej.

— O piątej.

Oboje to zapisaliśmy. Ja ołówkiem, w różowym zeszycie; ona na zielono, w swoim małym notesie, który zasłoniła całym ramieniem, jak się zasłania sprawdzian. Ja zasłoniłem swój łokciem. W głębi Mara przybiła pieczątkę na kartce i posypały

się iskry z zapachem zgaszonej świecy, a żadne z nas nie podniosło głowy, choć iskry się czuje nosem. Staliśmy każde na jednym końcu lady, bokiem i na wpół odwróceni plecami, dwoje ludzi zapisujących tę samą datę, jakby każde z nas było jej właścicielem.

Żadne nie powiedziało nic więcej. Teraz wydaje mi się dziwne, że dwoje ludzi, którzy właśnie się zgodzili, zasłania to, co pisze. Wtedy wydawało mi się, że lepiej się pisze z łokciem na swoim miejscu.

Ja już wiedziałem, jakie będzie przyjęcie. Julita też.

Oto, co ja wiedziałem.

Julita potrzebuje spokojnego popołudnia. Wciąż biega, mierzy czas i pyta, a kiedy w końcu się zatrzyma, widać to po stopie, która dalej gdzieś się wybiera. Podwieczorek na ławce na kładce nad kanałem, bez hałasu, z termosem i małym tortem, dobrze by jej zrobił. Znam tę ławkę. Ma poluzowaną deskę, która buja się, jeśli usiądziesz na brzegu, i to jedyna w dzielnicy, z której nie widać żadnego sklepu. Chodzę tam, kiedy potrzebuję, żeby nic się nie działo.

Byłaby to niespodzianka. Ona nie musiałaby niczego przygotowywać. Tylko przyjść. Wydawało mi się to najlepszym możliwym prezentem: takim, który nie daje pracy.

Mogłem ją zapytać. Pomyślałem o tym, stojąc przy ladzie z ołówkiem w powietrzu: „Julita, miałabyś ochotę na popołudnie bez pośpiechu?”. Ale pytanie ma odpowiedź, a odpowiedź może

brzmieć: nie. Plan nie odpowiada: leży na papierze, nieruchomy, i czeka, a to wychodzi mu najlepiej, tak jak prawie wszystkiemu, co narysuję.

Narysowałem go tego samego ranka, na następnej kartce: ławkę, małą latarnię u stóp kładki, tort, dwie filiżanki i termos. W drodze do sklepu zmierzyłem ławkę. Mieszczą się cztery. U góry napisałem PLAN GUNIEGO (TAJNY), gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, czyj to sekret.




O tym, co miała Julita, dowiedziałem się dopiero w następny piątek. Następnej strony nie napisałem ja: napisała ją ona, później, w moim zeszycie, a ja zostawiłem ją tam, gdzie ją położyła, tuż obok mojej. Tam jest jej miejsce.

*Oto, co wiedziałam ja: Guni potrzebuje prawdziwego przyjęcia, z muzyką, chociaż o tym nie wie. Jeśli go zapytam, powie, że nie. Więc nie pytam. –J.*

Chorągiewki rysowała jedną po drugiej, z cierpliwością, jakiej u niej nie znałem.




W południe Tonio wrócił z dostawy. Zostawił rower przy drzwiach, wszedł, nie zdejmując kasku, i usiadł na swojej skrzynce, na której siedzi „na razie". Od rana miałem cztery niebieskie koperty, zapisane ołówkiem moim najlepszym pismem, z ręką opartą o brzeg, żeby nie rozmazać, a Julita stała w głębi i grzebała w szufladzie z taśmami klejącymi. Obliczyłem, że zostało mi dziesięć sekund.

— Masz. — Dałem mu cztery koperty. — Jedna jest dla ciebie. Pozostałe dla Mary, Wery i Flory. To niespodzianka dla Julity. Nie mów jej.

— Niespodziankę to ja zachowam — powiedział Tonio.

Powiedział to głosem, jakim mówi „odebrano". Wsunął koperty do plecaka, nie patrząc na nie, a ja pomyślałem: co za szczęście, kurier, który nie czyta tego, co roznosi.

To, co stało się potem, opowiedział mi Tonio w piątek, z godziną, bo w BŁYSKAWICY godzina to połowa opowieści. Ja już poszedłem na obiad, kiedy Julita podeszła do jego skrzynki z plikiem zielonych kopert przewiązanych gumką. Było ich dziewięć. Tonio policzył je dwa razy.

— Jedna jest dla ciebie. Pozostałe dla Mary, Wery, Flory, Elii, pana Antoniego, Zoe, Bruna i pani ze sklepu z butami. To niespodzianka dla Guniego. Nie mów mu.

— Niespodziankę to ja zachowam.

To samo zdanie z tą samą miną. Chyba właśnie to odróżnia kuriera od kłamcy: kurier nie zmienia wiadomości zależnie od tego, kto pyta. Tym razem jednak otworzył obie swoje, niebieską i zieloną, jedną po drugiej, jak się sprawdza kwit dostawy. Mówiły to samo: SOBOTA 24, O PIĄTEJ. Po godzinie następowało miejsce i tu każda mówiła co innego.

Opowiedział mi to bez przymiotników. To jego sposób bycia miłym.

Po południu poszedłem do piekarni Elii zamówić tort. Pachniało ciepłą skórką chleba i czymś słodkim, czego nie umiałem nazwać. Gdy wszedłem, a dzwonek u drzwi jeszcze się kołysał, usłyszałem, jak w głębi zamykają się drzwi kuchni: suchy stuk, taki, jaki robi się biodrem. Wydawało mi się, że widzę kawałek zielonych ogrodniczek.

Pomyślałem, że to jakieś inne ogrodniczki. Zielonych ogrodniczek jest mnóstwo; to praktyczny kolor.

*To były moje. Elia wyprowadziła mnie kuchnią. –J.*

— Mały cytrynowy tort — powiedziałem Elii. — Bez niczego na wierzchu. Na sobotę 24, na piątą, na ławkę na kładce. To niespodzianka dla Julity.

To zdanie mówiłem już drugi raz tego dnia i brzmiało jak hasło.

Elia zapisała to na kartce okrągłym pismem i przypięła pinezką do korkowej tablicy zamówień. Wisiała tam już inna kartka, odwrócona drugą stroną.

— W sobotę 24 o piątej? O tej godzinie mam już inny tort. Do innego miejsca.

— Czyj?

— To tajemnica. Jak twoja.

Stanąłem na palcach, co robię, kiedy muszę zobaczyć coś, co mnie nie dotyczy, i co jeszcze nigdy mi nie pomogło. Pomyślałem, że to dla kogoś innego. W październiku urodziny ma mnóstwo

ludzi. Pomyślałem to cicho, żeby usłyszeć, jak brzmi, a brzmiało dobrze: miesiąc ma trzydzieści jeden dni, a dzielnica jest duża.

— Dochowam twojej tajemnicy — powiedziała Elia, wycierając ręce w fartuch. — I tamtej też. Ale mam jeden piec i dwie ręce. W sobotę o piątej obie ręce idą w jedno miejsce.

— A ten drugi tort?

— To musicie rozstrzygnąć wy, którzy je zamówiliście. Ja robię torty. Przyjęć nie.

Zapisałem: „Elia: jeden piec, dwie ręce, jedno miejsce". Liczby zrozumiałem doskonale. To „zamówiliście" puściłem mimo uszu, jak się puszcza autobus, który nie jedzie do mojej dzielnicy.

*Mnie powiedziała to następnego dnia. Ja też nie zrozumiałam tego „zamówiliście". —J.*



Kiedy wróciłem do sklepu, Tonio wysypał plecak na ladę i układał koperty według kolorów: zielone po jednej stronie, niebieskie po drugiej, z ostrożnością, z jaką układa się to, co ma być roznoszone. Skończywszy, policzył je jeszcze raz. Potem znowu.

— Guni, rozmawiałeś z Julitą o przyjęciu?

— Nie. To niespodzianka.

— No tak — powiedział Tonio. — W BŁYSKAWICY paczka z dwoma adresami nie wychodzi ze sklepu.

— Z jakimi dwoma adresami?

— Tego ci nie mogę powiedzieć. Poproszono mnie.

BŁYSKAWICA ma przepisy na wszystko i za każdym razem, gdy Tonio jakiś przytacza, uznaję go za dobry, choćby był dla mnie nowy. Ten był. Zapisałem go, nie rozumiejąc, w rogu kartki z planem, tam, gdzie mieszczą się rzeczy, które nigdzie nie pasują.

Tonio schował po jednym zaproszeniu z każdego koloru do kieszeni plecaka.

— Te dwie są moje — powiedział. — Resztę w poniedziałek.

Wtedy Mara, która dosięga każdej półki bez stołka z samej władczości, musiała tym razem wejść na niebieski stołek, żeby zdjąć oburącz z górnej półki pudło z nr 5: takie samo jak wszystkie na regale, ani większe, ani mniejsze. W środku coś drewnianego zrobiło trzask. Na półce został czysty prostokąt, jak zawsze tej samej wielkości, który dołączył do czterech luk; napis na ścianie dalej głosił ZOSTAŁO 16.

— Elia przychodzi o piątej — powiedziała Mara. — Nareszcie.

*Dwie koperty w jednej kieszeni. Żadna nic nie wiedziała o drugiej. Mówię o kopertach. —J.*

# JEDNA HISTORIA, SZEŚĆ ROZMIARÓW

Ta książka istnieje w sześciu rozmiarach, dla dzieci od 3 do 16 lat, i w ponad 20 językach. XXS, XS, S, M i L opowiadają historię strona po stronie, na tych samych rysunkach i z coraz większą liczbą niuansów. XL to powieść: ta sama historia, z miejscem na wszystko, co Guni myśli, ale czego nie mówi.

Poziomy według ESOKJ są orientacyjne: XXS, pre-A1 · XS, A1 · S, A2 · M, B1 · L, B2 · XL, B2–C1.

*Każdy w swoim rozmiarze. Ten sam tort. —J.*

DLA RODZIN I NAUCZYCIELI

Pracuj nad każdym rozdziałem na linguaula.com (z ćwiczeniami z rozmiaru L)